ROK PIĄTY.

—

№ 13.

WARSZAWA

d. 13 (25) marca

1860.

REDAKCYA

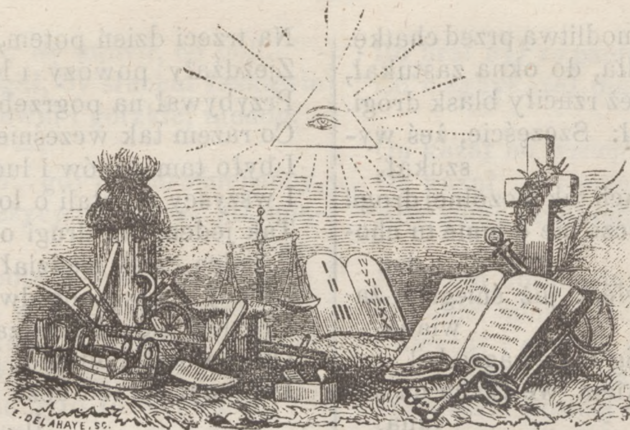
CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

Biała



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli w zyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nietylko w starym zakonie, ale i w nowym rozkazano, aby co tydzień każdy chrześcianin kładł co do skarbu Bożego, gdy idzie na modlitwę, jako mówi apostoł: każdy z was na każdą niedzielę bierz z sobą to, co mu się podoba, abyś dał na ubogie, żeby kollekty nie w ten czas były, gdy przyjdę. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*)

Wina i przebaczenie.

I.

Wiatr dziki dął szronem na błędne bezdroże,
Pod śniegiem gołoledź zdradziecko ukryta;
Ptak nocny gniazd swoich dolecieć nie może,
A ziemia ciemnością dokoła zakryta.
Po śniegu, w zamieci, gdzie droga nie wiodła,
Koń tętni i parska i zaspy przesadza,
A na nim schylony człek jakiś do siodła
Dał wolność koniowi, niech instynkt doradza.
Koń zarżał, przeskoczył zwalony pień dębu,
Pomyka i niknie w śnieżystej zawiei,
Aż błysło światełko z leśnego zarębu
I razem koń z człekiem ożyli w nadziei.
Niebawem kołowrot już jeźdźca zatrzymał;
Lecz na wsi tak głucho, jak w głuchej mogile,
I brytan stróż wioski w tę porę zadrzymał.
W tem bliższy gdzieś ogień poświecił przez chwilę.
Na Imie Chrystusa! kto żyw, niech otwiera!
I echo powtarza na *Imie Chrystusa*!
Lecz długo podróżny na wioskę poziera,
I nieraz powtarza to Imie Jezusa.
— Hej! kto tam w tej porze, czy czarci go wiodą?
— O dobry człowiecze! litości, pomocy!
Bo Chrystus Pan chyba ci będzie nagrodą,
Gdy zbawisz zbłąkanych, ginących tej nocy:
Tam biedna niewiasta z dziecięciem bez ducha...
— A ktoby tam poszedł? psu ginie ochota!
— Miej litość, na Boga!.. Lecz tamten nie słucha;
Odeszedł, zaparłszy jeszcze mocniej wrota.

—

Stał jeszcze czas jakiś w rozpaczy zbłąkany,
Aż koń wnet sam z siebie zawrócił od sioła,
I znowu bezdrożem przez śnieżne tumany
Za światłem zbawiennem pogląda dokoła.
„O! Boże, człek jęknął, gdy ognik ten zoczył,
O! Boże zbaw dziecię! o Boże zbaw matkę!"
Koń zarżał, sił zażył, galopem poskoczył,

Podróżny zajechał z modlitwą przed chatkę.
Zaledwie zsiadł z siodła, do okna zastukał,
Drzwi chatki na rościeź rzuciły blask drogi.
I wieśniak przemówił: Szczęście, żeś wyszukał,
To spoczniesz po trudach tak mozolnej drogi!
—Ach! dobry człowiecze nie o mnie tu chodzi:
Tam matka z niemowlem już śniegiem zawiana;
O! ratuj dla Boga, Bóg tobie nagrodzi!
I padł przed wieśniakiem we łzach na kolana.
Chłop podniósł skwapliwie i rzekł nieco gniewnie:
—A cóż to jam święty, padacie mi do nóg?..
Wszakżem ci katolik, i znam Boga pewnie,
By tylko nam Pan Bóg wynaleźć dopomógł.
Hej! zaprząż Jakóbie myszate do sani!
Wyrostek się zerwał i wybiegł w podwórze.
—A gdzież to została nieszczęsna ta pani?
—A trudno mi wiedzieć... w okropnej tej porze
Śnieg zawiał najmniejszą gałązkę, drożynę;
Lecz pomnę krzyż mały przy młodej topoli.
—To dosyć, pamiętam; za małą godzinę
Będziemy na miejscu, gdy Pan Bóg dozwoli.
A Jakób gdy konie już zaprzągł do sani,
A stary, krzyż święty gdy zrobił raz trzeci,
A matuś gdy kożuch wrzuciła barani,
Czemprędzej ruszyli i znikli w zamieci.

—

Już na dzień się miało, gdy zamieć ustała:
Cichaczem zaledwie wiatr śniegiem przewraca,
Na progu tej chaty staruszka wciąż stała,
Chcąc dojrzeć, czy stary z podróżnym nie wraca.
Aż wreszcie zdaleka trzy konie spędzone,
Spienione, zdyszane stanęły u proga.
—Hej! ogień na komin!. *Pod Twoją obronę*!..
Zawołał kmieć stary, wzniósł ręce do Boga.
I długo, o długo zabiegał cny kmiotek,
I Kuba i matuś przy zziębłej niebodze;
Lecz małe pacholę nie słucha pieszczotek,
Rozpacza podróżny i o żonę srodze:
Przeminął czas wielki, naprózna otucha,
Ostatnią nadzieję śmierć blada rozwiała,
I matka i dziecię łez ojca nie słucha,
I smutna już tylko modlitwa została!

Na trzeci dzień potem, do małej tej chatki
Zjeżdżały powozy i lud bliskiej wioski
Przybywał na pogrzeb dzieciny i matki,
Co razem tak wcześnie poszły na sąd Boski.
I było tam panów i ludu gromada,
I wszyscy szeptali o losie niebogi.
Tak jeden, tak drugi o śmierci powiada,
A jeden człek siedział w uboczu od drogi;
I kiedy spuszczano dwa ciała do ziemi,
I rozległ się pacierz za duszę śpiewany,
On powstał i odszedł krokami błędnemi,
I zniknął zprzed oczu sam i niewidziany.

II.

Lat wiele ubiegło od owej to chwili,
Bo i włos posiwiał na głowie dziedzica,
A codzień czas długi bawiąc przy mogile
Już łzami gorzkiemi poorał swe lica;
Kto kochał tak szczerze, nie rychło zapomni.
Lecz odtąd jedynym był Kuba mu zawsze:
On tylko, gdyż stary oddawna już w trumnie,
U pana nad innych ma względy łaskawsze,
On zatem miał pieczę nad pani mogiłą,
Przybytek ten stroił, kwiatami obsiewał;
On tylko, gdy z panem nikogo nie było,
I kiedy pan cichą łzą kwiaty podlewał.
Lat wiele ubiegło, pewnego wieczora,
Gdy dziedzic z swym Kubą byli na mogile,
Ktoś zcicha przez fórtę wsunął się jak zmora
I patrzał w klęczących tajemnie przez chwilę.
Niebawem przystąpił, padł do nóg dziedzica
I opłótł rękami stopy z całej mocy,
I wpił się ustami, a z bladego lica
Źrenice zapadłe świeciły w niemocy.
I z jękiem wymówił: ratunku! litości!
—O biedny człowieku! co ci za przygoda?
Zapytał go dziedzic w szczerej skwapliwości,
Czyś dziecię utracił? spłonęła zagroda?
Lecz powstań człowiecze, a powiedz mi prędzej.
Ten powstał chwiejący i oczy zasłonił,
Pan sięgnął do kiesy na widok tej nędzy,
Podaje, dziad milczy; pan złotem zadzwonił,
Lecz nędzarz dłoń z złotem odepchnął ze wstrętem.
—Litości o panie! nad moją złą duszą,
Klnę ciebie o! panie na wszystko, co świętem,
Bo duszę pokutną zgryzoty zaduszą.
Pan usiadł zdziwiony na kamiennej ławie

I rzekł do żebraka, by mówił, co boli.
Człek ukląkł i błagał, by słuchał łaskawie
Nieszczęsnej mu chwili i gorzkiej niedoli:

—

—Lat wiele ubiegło... gdy raz mroźnej nocy,
Wśród zaspy, śnieżycy do wioski już śpiącej
Nadjechał ktoś z pola, i wołał pomocy
Na imie Chrystusa w modlitwie gorącej.
Jam wracał już z kuźni, słyszałem wołanie,
A kląłem przybysza, o! straszna sromota,
I choć w imie Boże było to wzywanie,
Ja przed nieszczęśliwym zamknąłem swe wrota.
Gdym odszedł od bramy i spać się układłem,
Na *Imie Chrystusa* znów słyszę wołanie,
I razem z pościeli na ziemię upadłem...
Pobiegłem do bramy... zapóźno o Panie!
Tu zamilkł, padł do nóg i łkał nad stopami;
Pan milczał, bo ciężkie znów cierpiał katusze:
Łzy mu się toczyły, mieszając ze łzami
Gorzkiemi człowieka, co jęczał w swej skrusze.
I dalej rzekł, płacząc:—Od tej to już chwili
Nie miałem pokoju, wytchnienia, pociechy,
A kiedy za dusze w dzwony uderzyli,
Z rozpaczą i bólem uciekłem zpod strzechy.
Jak pielgrzym żebrzący chodziłem po kraju,
Po miejscach cudownych i wielkich odpustach,
Na klęczkach i boso, w pokutnym zwyczaju,
Po całych tygodniach nie miałem nic w ustach.
Lecz nie mógł mię kapłan dopuścić do Boga,
I każdy z nich wołał o większą pokutę...
A jeden mi wzbronił... kościelnego proga.
Lat wiele pędziłem godziny zatrute,
Lat wiele... zaledwie zdala przed kościołem,
Chcąc ulżyć swej duszy udręczonej srodze,
Klękałem i biłem pokutniczem czołem
Przed krzyżem stojącym na rozstajnej drodze.
Gdy kapłan mię spotkał przy mojej tej skrusze,
Zapytał o grzechy ze zwykłą miłością,
A pragnąc raz zbawić potępioną duszę,
Naznaczył pokutę, lecz z widną litością;
Bo brat był to panie, brat mój był rodzony,
Co niegdyś też musiał z złym bratem się rozstać:
On kazał mi wrócić tu w rodzinne strony,
On kazał od ciebie przebaczenie dostać,
Aby zdjąć przekleństwo nad dzieckiem ciążące,
A potem dośmiertną pokutę mi zadał.
O Panie! miej litość!.. ręce podniósł drżące
I klęczał i czekał, a wzrokiem go badał.
Łzy płyną z ocz pana, łzy Jakób połyka,
Wzruszeni litością na straszną tę mękę,
Nad ciężką niedolą biednego grzesznika;
Lecz rychło do dziada wyciąga pan rękę:
— Twe dziecię kowalu! jest w opiece mojej,
Pobiera nauki, człowieka zeń zrobię,
I już przebaczyłem dawno winie twojej,
A niechaj Bóg winy nie przypomni tobie.
Już mię też cierpienie do grobu zagania,
I coraz to bliżej już jestem u dołu,
Godzina wybije niebawem rozstania,
A dosyć dla ziemi żywota, mozołu!..
Ach! nie mam dziecięcia, choć ziemi tak wiele;
Więc Jakób i syn twój w moim testamencie
Zostaną swym braciom w zarządzie na czele...
On moje rozkazy wykonać ma święcie.
Ja tobie przebaczam, niech Bóg ci przebaczy!..
I kończąc te słowa, chciał podnieść żebraka,
—O zakończ kowalu swój żywot tułaczy...
I Boga przejedna już pokuta taka.
Pan chce go podźwignąć, lecz żebrak się słania,
I Jakób go podparł, a głową upadał,
A jęk tylko głuchy, łez kilka śród łkania,
Jakby coś modlitwą dziękczynną zagadał.
I ścieżał pokutnik jakoby z żelaza
Bezwładny na rękach z radości, czy żalu,
I Jakób już tylko czuł trupa nędzarza:
Przestało bić serce w pokutnym kowalu!

Lampka w kościołku.

II.

(Dokończenie).

—

Krzyk rozdzierający serce, który się rozległ dopiero, napełnił przestrachem złoczyńców.

Najzuchwalszy z nich zadrżał i wypuścił z rąk latarkę. Pierzchnęli jeden za drugim.

— Czyś słyszał? pytał jeden drugiego.

— Słyszałem, i trudno coś podobnego drugi raz w życiu usłyszeć. Uchodźmy. I rzeczywiście przywódcy zbrodni oba uciekli, zostawiwszy samego Jakóba.

Podziękować Bogu za wyrwanie go z tej ohydnej spółki, było pierwszem jego uczuciem; ale strach zagłuszył w nim inne wrażenia, chciał on tylko uciekać z miejsca zbrodni, aby drugi raz nie usłyszeć podobnego krzyku. Instynktem pobiegł drogą wiodącą do jego chaty: zmęczonemu, zadyszanemu każdy poświst wiatru zdawał się owym strasznym głosem; nie śmiał się obejrzeć, biegł jak szalony. Droga, którą się udał, była ścieszką biegnącą ponad przepaścią. Pierwsze szarawe światło dnia nadchodzącego ukazało mu jakąś dziwną postać stojącą nad przepaścią: włos miała rozrzucony, sama jak posąg skamieniała.

Jakób stanął, krew zastygła w żyłach jego; strach przecież parł go naprzód, i postanowił przez niebezpieczeństwo przebić się do chaty swojej. Pobiegł więc ku widziadłu, które mu się przedstawiło: była to Magdalena, nieszczęśliwa żona jego. Stała ona na górze, wzrok utkwiła w dno przepaści, jakby pozbawiona zmysłów i ruchu. Porwał ją za rękę, przywołał do przytomności; nie słyszała go nieszczęśliwa, nie obróciła się, patrząc ciągle na dół.

— Magdaleno, zawołał prawie szalony, na co ty tam patrzysz?

Milcząca wskazała mu palcem na jakiś przedmiot biały.

— Co to jest? zapytał, kamień, czy owieczka biała tam w dolinie?

— Tak, to nasz baranek... Marynia!

— Co mówisz nieszczęśliwa, zawołał Jakób, co ona tam robi?

Słowa te przywołały nieszczęsną matkę do zmysłów; obróciła się, i rzucając na męża wzrok obłąkany, mówiła spokojnie:

— Zapomiałeś widać, że noc dzisiejsza jest 7 rocznicą uzdrowienia naszej córki. Rano dziś udałyśmy się obie do kościołka pomodlić się przy blasku cichej lampki do Matki utrapionych, a potem zdjąć z Maryni białe ubranie. Biegła ona szybko przede mną, gdy nagle straciłyśmy z oczu światło lampki w kościele nieustannie płonące; a sądząc naturalnie, że już dochodzi kaplicy, córka nasza skręciła na prawo i wpadła w tę przepaść. Krzyknęłam wtedy i straciłam przytomność.

Słowa te jak miecz przeszyły serce Jakóba; zawołał z rozpaczą.

— A więc ja to zabiłem moje dziecko, bo ja zagasiłem lampę! I przy tych słowach rzucił się w dolinę po spadzistości góry, czepiając się krzaków; niedługo ujrzał się przy zimnych zwłokach swej córki,



która zdawała się słodko zasypiać. Nic w niej nie było uskodzonem; koronę z kwiatów, którą przygotowała na ołtarz Najczystszej z dziewic, jeszcze trzymała w ręku. Ojciec upadł na kolana i tak chwilę pozostał przy ciele swej córki; poczem podjął to słodkie brzemię i wyniósł na górę. Żona stała jak przybita, w tem samem miejscu, ani jedna łza nie pociekła z jej oczu; umysł jej pochłonęła jedna myśl, iż ten straszny wypadek nie jest prostem zdarzeniem ludzkiem, ale zrządzeniem jakiemś tajemniczem.

Złożyła ona na bladem czole swej córki pocałunek zimny, i rzekła:

— Pamiętasz słowa twej modlitwy, przed 7 laty wyrzeczone, gdyś błagał o życie i zdrowie Maryni?

Jakób zadrżał.

— Tak... pamiętam dobrze.

— Twoja modlitwa wysłuchaną była... ale i córka twoja miała jedną prośbę, która się spełniła: prosiła ona królowej niebios, aby ją w białem ubraniu do trumny złożono. Tyś jej do tego dopomógł. Ziściła się nadto i druga jej prośba.

— Jaka? zawołał Jakób.

— Ofiarowała ona jeszcze swoje życie, aby uprosić twoje nawrócenie.

— I wysłuchano jej, mówił ojciec, zanosząc się od płaczu.

Wtem w oknie kościołka zabłysło znowu światełko; któż lampę zapalił?

Oto na krzyk Maryni zacny kapłan wybiegł z mieszkania, i doszegłszy lampkę zgaszoną, sam ją zapalił, kiedy właśnie Jakób i Magdalena przynieśli ciało swej córki. Zdziwionemu kapłanowi Magdalena rozpowiedziała cały wypadek, zamilczając o sprawcy jego. Nieszczęśliwi rodzice ustawili katafalk w miejscu, gdzie się Marynia modlała, i złożyli jej ciało w białej sukience. Ręce złożone trzymały krzyż w ręku, rożaniec otaczał krucyfix, a długie włosy zmarłej spadały na ramiona; korona z kwiatów przez nią ułożona, spoczęła na skroni. Około trumny klęczeli rodzice. Ale niedługo Jakób upadł do nóg kapłanowi i wylewając potoki łez, wyznał winę całą. Kapłan pocieszył go obietnicą odpuszczenia grzechu, jeżeli surową pokutę odbędzie.

Nadszedł dzień pogrzebu, dzwon kościelny obwieścił tę smutną godzinę; mieszkańcy okolicy zebrali się gromadnie. Była to dla nich wiadomość jak nieznana tak straszna. Ucieczka złoczyńców rzucała w ich rozumieniu podejrzenie na nich, a odwracała je od Jakóba obecność jego na pogrzebie. Dużo łez szczerych popłynęło.

Długo potem widziano na cmentarzu kościołka mogiłę świeżą. jeszcze zieloną, którą dzieci ubierały świeżemi kwiatami... był to grób Maryi!.. W kilka lat później dwa groby wykopano obok tej mogiły; były to groby Jakóba i Magdaleny. Jakób pragnął, aby po śmierci jego poznano jego cnoty, szczęście, zbrodnie, karę, pokutę i przebaczenie, oraz jak się one cudownie wiązały z historyą Lampki w kościołku!

Kasper Miaskowski.

Znakomity ten pisarz polski urodził się r. 1549, z Zofii Kębłanowej, a umarł 12 kwietnia r. 1622; żył więc za panowania trzech królów Polskich: Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III. Ożenił się on z Zofią ze Szczodrkowa; mieszkał lat kilka we wsi Włoszczonowie pod Gąbinem. Był to poczciwy szlachcic, Boga i kraj rodzinny nad wszystko miłował. Pilnie uczęszczał do kościołka parafialnego, odwiedzając zacnego proboszcza księdza Marka, który mieszkał w małym murowanym domku i był wzorem kapłanów. Miaskowski żył w przyjaźni z mieszkańcami Gąbina, a mianowicie ze szlachtą, tamże osiadłą, którą *głowami* szlacheckiemi nazywał. Nade drzwiami domku swojego położył napis, ostrzegający, aby doń nie w chodzili ludzie, mający uszczypliwy i gadatliwy język:

Tym się drzwi same moje otwierają,
Co w sercu cnotę, dowcip w mózgu mają,
Ale i niemniej tych mój *podwój* (1) przyjmie,
Co z ludźmi zwykli szczerze i uprzejmie,
Co język mają nie kogo dotkliwy,
Ale bez jadu i z każdym zgodliwy.

Po ukończonej pracy lubił Miaskowski siadywać przy kominku i dumać długo, bo jak sam mówił, że kiedy się już pościnają wody,

Gdy rzeki i jeziora szklane zwiążą lody,
Gdy bydło z gołych lasów do obory pędzi,
A śnieg biały upadnie głębiej niż na piędzi;

to w tedy kominek staje mu się przystanią, miejscem, gdzie może rozgrzać ziębnięte swoje członki.

Szczególniejsza przyjaźń łączyła Miaskowskiego z duchowieństwem naszem, któremu i celniejsze swoje utwory przypisywał. I tak żył on w związkach przyjaźni z Gębickim biskupem Kujawskim, i Opalińskim biskupem Poznańskim. Pobierał nauki w kraju i tu się wykształcił, pisać zaczął późno, bo dopiero za czasów Zygmunta III króla polskiego. W śpiewach jego religijnych wieje duch szczerej pobożności, myśli wzniosłe wzbudzają

(1) Podwoje, drzwi

w podziwienie; celuje on w nich nad wszystkich ówczesnych poetów polskich, choć się z Kochanowskim sam porównać nie śmie. W pieśniach zaś światowych a szczególniej historycznych nie dorównywa innym. Miaskowski zbogacił nasz język wielu nowemi wyrazami, a niektóre stare do życia przywrócił; język jego w ogóle mocny i treściwy. Między pieśniami historycznemi zostawił pieśń na śmierć Jana Zamojskiego, o bitwie Żołkiewskiego pod Cecorą, o zwycięztwie Karola Chodkiewicza pod Kircholmem i t. p.

Wiersze przecięż pisane nie przynosiły mu korzyści, bo jak się sam żali, *że jeszcze z nich nie dostał i biednych piskorzy.*

Miaskowski opisał między innemi narodzenie, żywot i mękę Chrystusa.

Aby wam dać miarę i próbkę jego talentu, przytaczamy tu wiersz, napisany przez Miaskowskiego na wyjezdnem z Włoszczonowa do Smogorzewa na Szląsku, w którym żegnając swą ulubioną siedzibę, zaleca przyjaciołom swoim zgodę i miłość:

„Żegnam was pola Włoszczonowskiej kniei,
Gdzie się mnie wrócić nie ma i na nadziei;
Żegnam cię błotny z twemi dworku ściany,
Snopkiem odziany!
Żegnam was żyzne dwa pobocz ogrody,
I oba stawki, hojnej pełne wody,
Gdy w was wiatr zimny mokrem skrzydłem żenie
Z pola strumienie.
Żegnam i ciebie Gąbiński kościele,
Kędym nabożnych widział ludzi wiele,
I słyszał, w niebo przy ofierze drżący
Głos ich gorący.
Żegnam cię domie wystawiony z cegły,
Mało od domu świętego odległy,
Zkądem mógł, niż zszedł czas mi w nocy wrony, (2)
Poprzedzić dzwony.
Żegnam was niemniej pomazańcy Boży,
Niźli wam złotą koronę odłoży
Za nieleniwe w jego służbie stopy,
A nie dla kopy. (3)
A między nimi żegnam Marku! ciebie,
Tyś mi ojczyznę pokazywał w niebie,

(2) Wrony, ciemny.
(3) Nie dla dziesięciny.

I omył, niźlim przyjął Boga krzywy,
On pokarm żywy.
Żegnam was głośne krzykliwe organy,
Gdy u ołtarza stanął ksiądz ubrany,
Czy arfą Bogu Dawidową służy
Słodszą nad muzy. (4)
Żegnam was wszystkich z ludzi tego miasta
Kto mi życzliwy mąż, albo niewiasta,
Żegnam przed nimi, temi ja was słowy
Szlacheckie głowy.
Żyjcie w pokoju i wzajemnej zgodzie,
W ochronie z nieba i miłej swobodzie,
A ja cnych waszych trębaczem spraw będę,
Kędy osiędę! (5)

W roku 1847 odkryto w księstwie Poznańskiem we wsi *Wielkim Strzelcu* nagrobek Miaskowskiego marmurowy, z jego herbem *Leliwa* i napisem, przez samego autora ułożonym:

Kacper Miaskowski, co miał śmiertelnego,
W tym zawarł grobie, aż do dnia owego,
Gdy głuche ciała trąba głosić będzie,
A ogniem z nieba spłonie ziemia wszędzie i t. d.

Żył lat 73.

(4) Muzy, były to pogańskie boginie poetów.
(5) Gdziekolwiek osiędę.

Hodowanie pijawek, wybór miejscowości, wody i innych koniecznych warunków.

II. (patrz N. C. 9)

Można hodować pijawki w prostem kamiennem naczyniu, w dużych butlach, w ocembrowanych korytach, w wanienkach i t. d.; ale to więcej dla ciekawości, lub też kupione skądinąd dla użytku domowego. Ja zaś chcę was nauczyć, jak się hodują pijawki na większą skalę, tak, żeby należyty dochód w gospodarstwie wiejskiem lub miasteczkowem przynieść mogły.

Najprzyjaźniejszą miejscowością dla hodowania pijawek są sadzawki naturalne. Wilgotność tych miejsc podoba się pijawkom, a torf, mnóstwo roślin i korzeni zajmujących głębiny, służą im za schronienie, do którego się w lecie przed upałem, a w zimie przed mrozami uciekają.

Żyjątka te są istotami więcej daleko ziemnemi niż wodnemi. Dlatego urządzając sadzawki, tak potrzeba postępować, aby nietylko pijawki miały wodę, ale oprócz tego przystępne brzegi.

Woda powinna być taką, w jakiej pijawki żyją w stanie naturalnym, t. j. powinna być stojącą i letnią, a nie zawierać żadnych cząstek szkodliwych lub niepokojących pijawki. Woda zbytecznie ciepła, zgniła, płynąca przez miejsca, gdzie są rudy żelazne, tudzież woda zawierająca ścieki i różne kwaśne lub też gryzące części, nie jest przydatną do hodowli pijawek. Źródłowa woda jest za zimną, wszelako uchwycona w płytkie sadzawki i wystawiona dla zletnienia na działanie promieni słońca, może się przydać dla pijawek. Woda deszczowa sprzyja nadzwyczaj hodowaniu tych żyjątek, i tak też się dzieje w naturze: albowiem błota, w których pijawki żyją, najczęściej powstają z wody deszczowej, zbierającej się w miejscach, mających spodnią warstwę nieprzepuszczalną. Woda nakoniec w pijawczarni powinna być spokojną, albowiem pijawka lekarska, jakkolwiek zaopatrzona jest w wielką siłę, wszakże z trudnością pływa, i zostawiona sama sobie, nigdy się nie pokazuje w wodzie bieżącej; jeżeli zaś ją tam spostrzegamy, zawsze przypuścić można, że się przypadkowo do niej dostała.

Wprawdzie puszczają się nieraz pijawki do wody bieżącej źródłowej i dosyć zimnej, ale to tylko do otrzeźwienia i podniesienia siły trawienia, niejako dla kąpieli i spaceru, skąd prędko powracać do samych sadzawek powinny.

Z tego wszystkiego się pokazuje, że nie ma miejscowości w całej Polsce, gdzieby pijawki nie mogły się hodować. Potrzeba tylko chęci, staranności i pewnej znajomości rzeczy.

Żeby was już wszystkiego o pijawkach nauczyć i podać należyte sposoby ich pielęgnowania, trzeba cokolwiek wspomnieć o zabezpieczeniu ich od *chorób i zgubnych nieraz dolegliwości*, którym jak każde żyjące stworzenie i one też podlegać mogą. Żeby można chorobom zapobiegać, trzeba wiedzieć, jakie to są owe choroby i jakie to okoliczności wywoływać je mogą?

Jedną z najniebezpieczniejszych i najczęstszych jest *choroba zgniła*. Przyczyną tej choroby jest gnicie krwi. Pijawki nią dotknięte wypuszczają ze smoczków płyn czerwony, wodnisty. Ten już stan jest oznaką bliskiej śmierci, i nie powinien być uważany za znak zbytecznego nakarmienia.

Powodami do tej zgniłej choroby są:

1. Zbyteczny upał. 2. Wielkie nagromadzenie pijawek w ciasnem miejscu. 3. Zarażanie zdrowych przez słabe, wcześniej tem cierpieniem dotknięte, lub też przez już nieżyjące. 4. Zaniedbywanie przemywania częstego pijawek, lub też przemywanie ich nieczystą wodą. 5. Przechowywanie pijawek w workach i naczyniach nieczystych. 6. Przewożenie lub przenoszenie tych istot w czasie krytycznym t. j. w czasie tworzenia zwitków czyli kokonów (1). 7. Nareszcie przeciągająca się brzemienność w czasie nadzwyczajnych lipcowych lub sierpniowych upałów.

Znając przyczyny, można zawczasu strasznej tej chorobie zaradzać, a to naturalnie unikając owych przyczyn, lub już zjawiające się szybko usuwając.

Druga choroba pomiędzy pijawkami często grasująca jest *zaraza śluzowa*, objawiająca się przez zbyteczne wydzielanie flegmy. W takim stanie pijawka bardzo zmieknie i staje się widocznie mniejszą. Choroba ta trwać zwykła dni kilka. Przyczynami jej są: 1. Uwięzienie pijawki. 2. Zmiana żywiołu. 3. Zmęczenie w podróży. 4. Częste chwytanie pijawek. 5. Opakowanie wydające woń przykrą dla pijawki.

Bardzo często dostają pijawki tak zwanych *węzłów*, czyli nabrzmiałości gruczołowatych.

Choroba ta jest skutkiem niewoli, w której się długo zwykły pijawki, mianowicie w handlu trzymać.

Mróz jeżeli nie zabija odrazu pijawki, to staje się przyczyną rozmaitych chorób, mianowicie *gruczołów* i *wyrostków* chorowitych, które do zupełnej zmędzniałości mogą doprowadzić pijawkę.

Nakoniec pijawki ranią jedne drugie, wszelako z takowego poranienia nie wielkie wynikają szkody, zaledwie małe *osłabienie* i to w nieznacznej liczbie.

(1) Kokon jestto błonka, w której pijawki swój płód składają.

Wiedząc to, cośmy dotąd o pijawkach powiedzieli, łatwo będzie wynaleść najlepsze sposoby ich hodowania. Więc też w krótkości dodam wam główne zasady, bo i miejsca by nie stało, gdybym się chciał szczegółowo rozpisywać.

Naprzód starać się powinien hodownik, aby pijawki nie mieszkały w wodzie bieżącej, która jest dobrą i właściwą tylko dla sztuk mających się wkrótce używać; albowiem woda bieżąca powiększając trudności w pływaniu tudzież żywność tych zwierzątek, powiększa oraz ich apetyt, a zatem staje się przyczyną prędkiego chudnienia i znędzniałości. Woda stojąca, ożywiona obfitą roślinnością, a więc sadzawka zbliżona do stawów naturalnych, jest najstosowniejszym żywiołem i mieszkaniem najwłaściwszem dla pijawek.

Potrzeba przytem sadzawkę swoję rozdzielić na kilka rozdziałów, skąd następujące wynikają pożytki: 1. Można rozgatunkować pijawki podług rasy, wielkości, siły, zdrowia i wieku. 2. Ułatwia się przezto ich połów. 3. Można dostarczyć należyciej wody świeżej i lądu stałego, nie niszcząc wzrostu roślin, mianowicie po brzegach, np. mchu, situ, turzycy i t. p. 4. Nakoniec łatwiej odbywa się nakarmianie.

Hodując pijawki, starać się należy o dobry i obfity pokarm dla nich, bądźto o krew ciepłą, bądźto oddając pijawkom na pastwę zwierzęta żywe; a pomimo że ten ostatni sposób jest przykrem okrucieństwem, wszakże będzie on zawsze najlepszym i najpraktyczniejszym sposobem karmienia tych pożytecznych istot.

Nakoniec hodownik chcący mieć prawdziwie znaczny dochód ze swego pijawczanego gospodarstwa, powinien mu poświęcić nieustającą pilność i ścisły dozór. Musi prowadzić ustawiczną wojnę z wrogami pijawek, badać wszystkie ich przemiany i tak się z tą rzeczą praktycznie obeznać, aby dlań nic nie było obcem. Często mała wiadomość i drobna pozór bagatela, ogromne zyski sprowadza.

(Dokończenie nastąpi).

Rozmaitości.

Wet za wet.

—

Pewien kmieć prawując się z sąsiadem, oddał papiery swoje jakiemuś pokątnemu doradcy, co był pisarkiem u burmistrza w pobliskiem miasteczku, z prośbą, aby mu do sądu napisał suplikę, tylko aby długą. W kilka dni udał on się do owego pisarka, który mu doręczył przygotowaną suplikę, ale zarazem dużą naliczył kwotę za to swoje pisanie.

— E! proszę jegomości, kmieć rzecze, toć to tam choć długo, ale strasznie rozwlekło pisane; nie mogłoby to być odrobinę ściślej?

— Tego wy mój bracie nie rozumiecie, odpowiedział pisarz; to jest właśnie urzędowe pisanie. Jeżeli nie macie pieniędzy, to mi za to możecie zorać parę morgów roli.

Poskrobał się chłopek w głowę, bo mu się to jakoś nie zdało, pomyślał nieco, wreszcie rzekł: ha! cóż robić, kiedy trzeba, to trzeba! Nazajutrz jak świt zajechał z pługiem na pole i jął orać, ale skiba od skiby na dwa łokcie.

Około południa kiedy już dokończał swojej roboty, nadszedł pan pisarz, i jak zobaczył taką orkę, skoczył jak oparzony; i coście też zrobili Macieju! zawołał, czyście oszaleli?— a na cóż się to zdała taka orka? za nic taka robota!..

— Ciekawym dlaczego? odrzeknie Maciej spokojnie; albo to się pan na tem rozumie?.. To właśnie orka urzędowa, jak to pańskie pisanie... teraz z nami kwita, dodał, zjeżdżając z pola... bywaj pan zdrów!

Pisarek nie odrzekł słowa, tak był zdumiony, a Maciej tymczasem zaciął woły biczem i odjechał z pługiem do domu.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 8 (20) marca 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*